

Wspomnienia z dzieciństwa

WSTĘP

W ciągu ośmiu lat, które upłynęły od śmierci mojego ojca Bohdana Kurowskiego 29 sierpnia, 2009 r., miałam okazję zapoznać się bliżej z jego biografią dzięki dokumentom, zdjęciom i nagraniom, które pieczętował przechowywał oraz dzięki wywiadowi-rzece, którego w 1990 r. udzielił swojemu przyjacielowi Jarmo Jääskeläinen, znakomitemu fińskiemu filmowcowi. Pamiętam ojca jako człowieka o osobowości ciepłej, otwartej na ludzi. Natomiast jego wspomnienia ujawniają kogoś, kto wiele cierpiał, już od dzieciństwa. Po Sartrowsku wrzucony w straszliwą rzeczywistość wojny, stalinowskich zsyłek, sieroctwa, potrafił mimo wszystko odnaleźć radość życia oraz impuls twórczy. Ten ostatni zaowocował różnymi formami pisarstwa i bardzo aktywnym życiem społecznym. Przeglądając korespondencję ojca odczuwam pełen pokory podziw – ileż on zdziałał. Terenem jego działalności był przede wszystkim Olsztyn – miasto, z którym ojciec związał się od wczesnej młodości, po powrocie (w 1946 r.) z sześćcioletniej przymusowej zsyłki do Kazachstanu. Jako dziennikarz pracował kolejno w *Głosie Olsztyńskim*, *Warmii i Mazurach*, *Panoramie Północy* (której był współzałożycielem), również w *Polityce*. Przez szereg lat kierował Olsztyńskim Oddziałem Polskiej Agencji *Interpress*. Współpracował z *Posłańcem Warmińskim*, następnie był współzałożycielem i redaktorem naczelnym *Olsztyńskiego Kuriera Obywatelskiego*, wreszcie redagował *Głos Rotary*. Należał do członków-założycieli Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego *Pojezierze*, którego był prezesem przez dwanaście lat. Jako członek NSZZ *Solidarność* działał w komisji kultury Regionu Warmińsko-Mazurskiego. W stanie wojennym aresztowano go za kolportowanie nielegalnych wydawnictw podziemnych. W czasie przełomu współorganizował Komitet Obywatelski *Solidarność*. Był inicjatorem utworzenia w Olsztynie klubu Rotary i został pierwszym gubernatorem polskiego dystryktu tej organizacji. Trzykrotnie był delegatem do Rady Legislacyjnej Rotary International. Otrzymał szereg odznaczeń, między innymi Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal XXX-lecia PRL, medale *Zasłużony dla Warmii i Mazur* oraz *Zasłużony Działacz Kultury*, odznaczenie rotariańskie *Paul Harris Fellow*, oraz Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, przyznany za zasługi dla rozwoju ruchu rotariańskiego w Polsce.

Wśród publikacji książkowych B. Kurowskiego znajdują się zbiór felietonów i recenzji teatralnych *Dni powszednie i święta* (1975); zbiór felietonów politycznych *Z prądem pod prąd* (2011; wydany pośmiertnie przez żonę Halinę Kurowską i syna Igora); wreszcie zarys dziejów ruchu Rotary w Polsce *Dyplomacja Obywatelska*, wydany wraz z pracą Marka Turkowskiego *Dwadzieścia lat Rotary w Olsztynie* we wspólnym tomie *Rotary w Olsztynie i nie tylko...* (2011). Reportaż Bohdana *Śladami bosych stóp* znalazł się w antologii reportażu *A dąb rośnie* (2002) i innych wydaniach książkowych. Za swoją twórczość B. Kurowski otrzymał szereg wyróżnień, m.in. nagrodę Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu, I nagrodę Teatru „Ateneum”; wyróżnienie Miejskiej Rady Narodowej Krakowa, oraz II nagrodę w konkursie dramatycznym w Bydgoszczy.

W ostatnich latach życia ojciec nagrywał wspomnienia, z intencją opublikowania ich w formie książkowej. Nie zdążył, choroba nowotworowa udaremniła te plany. Praca nad zebraniem, przepisaniem oraz redakcją jego nagrań i pamiątek przypadła mnie w udziale i chylę czoła przed dziełem życia B. Kurowskiego, mojego ojca.

J.K.

CZĘŚĆ I

Mój dziad po stronie ojca nazywał się Kazimierz Kurowski. W carskiej stratyfikacji określany był jako *bywshi dwarianin*, czyli były posiadacz ziemski (szlachcic). W Rosji nie można było być *dwarianinem* nie mając chociażby niewielkiej ilości dusz – kłaniają

się *Martwije duszi* Gogola. Kategoria *bywshi dwarianin* była łącznie stosowana wobec Polaków na obszarach Rzeczypospolitej Polskiej sprzed rozbiorów, a więc Żytomierszczyzny i Kijowszczyzny. Chodziło o to, by ich wykorzenić. Zatem status społeczny dziadka to „były szlachcic”, natomiast jego potomstwo

określano już jako *raznaczinniki*, ludzie różnych zawodów.

Dziadek Kazimierz urodził się około roku 1854. Według legendy rodzinnej ocalał z najazdu oddziału kozackiego na majątek rodziców. Miało to miejsce tuż po Powstaniu Styczniowym, zapewne w Żytomierszczyźnie. Dom został spalony, ale dziadek, który wówczas miał dziesięć lat, schował się w beczce z mąką. Jego znacznie starszy brat, Jan Kurowski, był nieobecny podczas najazdu. Później ów Jan wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, lecz poszukiwania go nie dały rezultatu. Tak głosi przekaz rodzinny. W internecie można znaleźć spisy więźniów politycznych w dawnym województwie kijowskim: na Podolu, Żytomierszczyźnie i Kijowszczyźnie. W roku 1863 w więzieniu w Żytomierzu znajdowało się czterech Kurowskich. Choć imiona ich są nieznanne, wśród kilkuset uwięzionych nazwisko „Kurowski” pojawia się czterokrotnie. Jak wiadomo, wobec osób zaangażowanych w jakikolwiek sposób w powstanie stosowano zsyłki i konfiskaty majątków.

Dziadkiem zaopiekowała się jakaś dalsza rodzina – Gołębiowscy czy Godziszewscy. Otrzymał edukację, przygotowano go do uprawy ziemi. Podobnie jak Niechcic w *Dniach i nocach* Marii Dąbrowskiej, Kazimierz rozpoczął pracę od zarządzania cudzymi majątkami. Z czasem przebił się i został samodzielny dzierżawcą, co było już jakby pańską pozycją. Właściciele – najczęściej posiadacze ziemscy większej miary – często bawili się granicą. Dzierżawca płacił im czynsz w naturze i pieniądzu (w owych czasach częściej już w pieniądzu), zgodnie z zawartą umową, po czym – rządził. Jeżeli miał dobre lata, to sporo zarabiał, natomiast w czasach nieurodzaju czy kłęski żywiołowej tracił. Niemniej były to warunki życia pańskie, toteż dziadek z rodziną mieszkał w porządnym dworze.

Kazimierz Kurowski ożenił się z Emilią z Sierpińskich, z którą miał pięcioro dzieci: syna Edwarda oraz córki Ewelinę, Jadwigę, Janinę i Helenę. Kiedy Emilia odumarała dziadka, ów po pewnym czasie poślubił zatrudnioną u niego guwernantkę, Marię, która zresztą była córką bardzo znanego i zamożnego adwokata w Kijowie, nazwiskiem Szczuka. Wspomina go w swych pamiętnikach wuj Conrada-Józefa Korzeniowskiego, Tadeusz Bobrowski. Dom Szczuki był niezwykle otwarty, były tam nieustające przyjęcia, powozy, no i hazard. Doszło do tego, że Szczuka utracił wszystko, co miał. Przegrał, przepił. Jego dwie cór-



Kazimierz Kurowski (1924)



Emilia z Sierpińskich Kurowska



Maria Kurowska née Szczuka (1888)



Z prawej: Witold, z siostrą Marylą (1905)

ki musiały iść do służby. Maria – moja babka – była znacznie starsza od swej siostry Anny. Wiele lat później obie znalazły się w Olsztynie, tam też zmarły. Kiedy dziadek ożenił się z Marią, ona była już w ciąży z ich pierwszą córką, Marylą. Po niej dziadkowie mieli jeszcze troje dzieci, syna Witolda oraz córki Stanisławę i Kazimierę. Córki z małżeństwa Kazimierza z Emilią powychodziły za mąż, natomiast te, które dziadek miał z Marią, wszystkie zostały starymi pannami. Po wojnie też znalazły się w Olsztynie. Witold – mój ojciec – urodził się w roku 1901. Tylko on spośród potomstwa Kazimierza i Marii zawarł związek małżeński. Zmarł w również Olsztynie, w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Tuż przed I wojną światową dziadek Kazimierz zlikwidował swoje interesy na Ukrainie i przeniósł się do Sorok na Besarabii. To już wówczas była Rumunia, która wcześniej niż Polska uzyskała niepodległość państwową. Mojego przyszłego ojca Witolda dziadek pozostawił w Kijowie, aby ów ukończył gimnazjum. Oczywiście, opłacał jego naukę, lecz ojciec dość szybko zaczął być samodzielny. W Sorokach dziad Kazimierz zawarł partnerstwo biznesowe z dwoma Żydami – wspólnie założyli przedsiębiorstwo rolno-przemysłowe, w którego skład wchodziły browar i gorzelnia.

W dwudziestym roku dziad postanawia przyjechać, wraz z żoną i trzema córkami, do Polski. Likwiduje interesy w Sorokach, spienięża swoje udziały w przedsiębiorstwie. Mówiono mu: „Koniecznie musisz coś z tym zrobić, zainwestować“. Ale dziad był „uparty staruch“, jak podkreślał mój ojciec. Zamiast ulokować zyski w złocie, wymienił je na polską walutę. Przyjechał z walizą pieniędzy. Szalała inflacja, pudełko zapalek kosztowało kilka milionów marek. Dziad został z kupą papierów, wystarczyło mu zaledwie na kupienie symbolicznego kawałeczka ziemi z jakąś chatynką w Bydgoskiem. Tam osadził żonę, czyli

moją babcię Marię, oraz córki. Sam jeszcze trochę pracował, ponownie zajmując się zarządzaniem majątku. Pod koniec życia pomieszkiwał u rodziny.

*

Kiedy w roku 1918 mój ojciec kończył gimnazjum w Kijowie, trwała już rewolucja. Opowiadał, jak to podczas lekcji w klasie maturalnej nagle otwo-



Witold Kurowski, Mołodeczno 1931

rzyły się drzwi. Wszedł komisarz rewolucji, ubrany w skórzaną kurtkę. Krogulczym paluchem wywołał najpiękniejszą dziewczynę. Ona potem wróciła – i po jakimś czasie popełniła samobójstwo. Im chodziło o to, aby wydała kogoś z rodziny. Były tortury. Ponieważ była piękną dziewczyną, pewno się też spodobała...

Pojawili się już komisarze. Według Rosjan, rewolucję zrobili im Żydzi, Polacy i Łotysze. Oczywiście, polskie jednostki wojskowe w służbie czerwonej istniały, podobnie jak *łatwijskie strielki*, czyli oddziały czerwonych strzelców

łotewskich, które bardzo tę rewolucję wspierały. Były też oddziały ukraińskie. W czasie, gdy ojciec kończył gimnazjum, wszystko zmieniał się z dnia na dzień, na przykład Skoropadski został hetmanem *samostijnej* już Ukrainy.

Ojciec, wspaniały gawędziarz, opowiadał między innymi, jak to po ukończeniu gimnazjum uciekał do swojego ojca, do Sorok, na drugą stronę Dniestru. Po wielu przygodach znalazł przewoźników. Łodzią przepawali się na drugi brzeg. Ojciec bał się, że przewoźnicy mogą go zabić, lecz gdy zobaczył, że żegnają się *W imię Boha i Syna, i Duchą Swiatoho*, osądził, że ludzie wierzący go nie zabiją. Obawiał się anarchistycznych oddziałów atamana Machno, grasujących u boku zbrojnych bolszewickich oddziałów. Były też chłopskie bandy, które szły po dworach i rżnęły. Krążyło powiedzenie: „Różnij go powoli, bo był dobry pan“. Dość, że zahaczając po drodze o jakąś rodzinę, ojciec dotarł w końcu do dziada w Sorokach. Z Rumunii udał się do Polski, by jako ochotnik zagraniczny wspomóc wojsko polskie. Tam wciąż trwała wojna z bolszewikami. Ojciec dołączył do partyzantki Romana Abrahama, która czyniła cuda na południu kraju. Jako szwoleżer wziął udział w pędzeniu uciekającej w popłochu *konarmii* Siemiona Budionnego. Po wojnie został przy wojsku, wstąpił do Oficerskiej Szkoły Podchorążych Artylerii, która mieściła się w Warszawie, na rogu Alei Ujazdowskich i Bagateli – tam, gdzie dziś jest Urząd Rady Ministrów. Ojciec stał na warcie, kiedy wieziono Narutowicza po zamachu. Widział konie pędzące do Belwederu, z martwym już prezydentem.

Po studiach ojciec rozpoczął służbę w artylerii konnej. Służył między innymi w Nowej Wilejce. W 1931 roku, kiedy to mój brat Zbyszek pojawił się na świecie, miejscem postoju ojca (wówczas w randze podporucznika) był Humań na pograniczu Białorusi i Litwy. Potem jego dywizjon stacjonował w Mołodeczno. Tam ja



Witold jako oficer artylerii konnej



Od prawej: Witold i Zofia Kurowscy, ich synowie Zbigniew i Bohdan, oraz Kazimiera - siostra Witolda (1938)

się urodziłem, w 1933 roku. Dziś Mołodeczno to Białoruś, ale wówczas nie wiadomo, co to było. W każdym razie, Polska.

Następnie ojciec służył w Kamionce Strumiłowej pod Lwowem. W 1938 r. został na własną prośbę przeniesiony do Bielska Białej; wówczas był już w randze kapitana. Przeprowadziliśmy się tam ze względu na zdrowie matki. Miała problemy z płucami, potrzebowała lepszych warunków klimatycznych – wtedy wierzone jeszcze w takie rzeczy. Bielsko-Biała to miasto przemysłowe, potężny ośrodek przemysłu bawełnianego i wełnianego, konkurencyjny dla angielskiej wełny i sukna. Tam była też artyleria konna, podhalańska. Śliczne to było wojsko. Zarówno w artylerii jak i piechocie wojskowi nosili pelerynki oraz kapelusze – z modyfikacjami, zależnie od formacji. Mój ojciec też chodził w takim kapelusiku podhalańskim.

Żyliśmy z pensji oficerskiej ojca, bardzo „ciasnej”. Kapitańska gaża tuż przed wojną wynosiła około pięciuset złotych. To nie były duże pieniądze, zważywszy, że oficer ponosił różne koszty utrzymania. Na przykład, nie dostawał munduru za frajer, musiał go sam sobie szyc, to znaczy zamawiać u krawca. Mundur musiał być na miarę, dobrze skrojony, bo oficer nie mógł się przecież pojawić na ulicy w byle czym. Służba wojskowa była bardzo czynna, prócz tego ojciec musiał prowadzić dosyć bujne życie towarzyskie w gronie oficerskim. W rezultacie Zbyszek i ja do czasu wojny wychowywaliśmy się praktycznie w koszarach. Bliskość wojska miała duży wpływ na nasze chłopięce życie. Pamiętam uroczystości koszarowe, na przykład obchody rocznic bitwy pod Raclawicami. To były wspaniałe widowiska. Na

placu pułkowym zbierał się cały dywizjon artylerii konnej, po czym zaczynało się przedstawienie – strzały z armat, kostiumy, pełna inscenizacja. Trudno sobie dziś wyobrazić, jak owe fety oddziaływały na wyobraźnię takich dzieciaków jak my – chociaż bardziej niż o karierze wojskowej marzyłem wówczas o tym, aby zostać... papieżem! W każdym razie, ojciec wychowywał nas po żołniersku. Nie sądzę, by było to dobre wychowanie... Owszem, trzymał pewną dyscyplinę, lecz nie traktował nas zupełnie po zupacku. Zdarzało nam się dostać pasem, ale to były bardzo rzadkie przypadki. Nie mieliśmy do ojca pretensji, bo on nigdy nie robił tego w złości.

Z owych czasów utkwily mi w pamięci podróże z Kamionki Strumiłowej do Lwowa. Raz wybrałem się do Lwowa z powodu moich częstych przypadłości anginowych. W owym czasie jedynym sposobem leczenia anginy u dzieciaków było wycinanie migdałów. Mnie dosięgły niestety jeszcze stare metody leczenia. Przyszła pan chirurg i przy pomocy nożyc, ściął ten migdał zupełnie na płask. Efekt był krótkotrwały. Tak przeprowadzony zabieg w ogóle nie miał większego sensu, o czym dowiedziałem się dopiero po wojnie, gdy operował mnie słynny laryngolog olsztyński, chirurg doktor Laszko. W późniejszych czasach zamiast ścinać migdały, wyluskiwano je.

Przed operacją przyszedł do mnie ojciec: — No co, Danek? (podobnie jak i matka, nazywał mnie tak, zdrabniając „Bohdanek”) Ty wiesz, że żołnierz nie płacze? — Oczywiście, żołnierz nie może płakać. Za to już po wszystkim dostawało się bardzo dużą porcję lodów. Chodziło, o to, żeby schłodzić zoperowane gardło, zapobiec krwotokowi. Po

zabiegu ojciec odwiedził znów mnie w szpitalu:

— Baczość! No jak tam? Wszystko w porządku?

— Tak jest, panie kapitanie!

Leżałem na sali żołnierskiej w szpitalu garnizonowym, położonym w pięknym lwowskim parku. Trwało lato, do naszej sali przybiegała wiewiórka. Było cudownie, po prostu cudownie. Potem, po wojnie szukałem tego szpitala, starałem się odnaleźć ów klimat, ale bezskutecznie.

Koszary zawsze się znajdowały w miasteczkach w znacznej mierze zamieszkałych przez Żydów. Na przykład Kamionka była typowo żydowskim miasteczkiem – a raczej żydowsko-wojskowym. Żydzi to wojsko, nic poza tym! Żydzi to byli przeważnie chasydzi, mieszkali w sztetlach i pozostawali wyizolowani. Nie komunikowali się w języku polskim, w ogóle nie mówili po polsku. Mój kontakt z nimi był sporadyczny. Mieszkaliśmy zwykle w jakimś domu czy willi oficerskiej, z reguły otoczonej wysokim płotem, żeby nikt nam nie zakłócał spokoju. Ale pamiętam taką żydowską staruszkę, która przynosiła poziomki. Wychodził ordynans i targał się z nią o owe poziomki. Przychodził też krawiec, który szył ojcu mundur, wreszcie szewc, który szył ojcu buty oficerskie. Ojciec świetnie się z nimi dogadywał, żydłaczył. Były takie aj-weje: — Panie kapitanie, dla pana to będzie bardzo tanio, w ogóle, tego... Przychodzili i inni z propozycjami nadzwyczajnego interesu.

*Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego
Spisanie oraz redakcja tekstu:
dr Joanna Kurowska*